

BITEWNY SZAŁ

Zadra była zabójczynią. Nikt w to nie wątpił.

Kawał błotnistej, zalanej krwią i zdeptanej buciorami ziemi za zaporą tarcz był jej królestwem. Dla każdego, kto wdarł się tutaj nieproszony, stawała się Śmiercią. Mur wojowników powoli sunął w dół zbocza. Łoskot był głośniejszy od dudnienia gradu w kadłub Wiatru Południa. Parli naprzód, siekli, deptali po ludziach, wciągali ich między tarcze i połykali niczym głodny wąż. Jeden z Uzhaków zaczął się podnosić, ale Zadra dźgnęła go w plecy mieczem ojca. Gdy padał, na jego zakrwawionej twarzy malowały się już tylko strach i ból.

Sądziła, że będzie trudniej niż podczas ćwiczeń drewnianym mieczem, ale okazało się to o wiele łatwiejsze. Stal była lekka i ostra, a jej ręka silna i szybka. Miała wrażenie, że broń kieruje się własną wolą. Bezwzględna wolą zabijania.

Zadra była zabójczynią. Tak mówiła Skifra i oto wszyscy ujrzeli dowody zapisane krwią na skórze jej wrogów. Żałowała, że ojciec jej teraz nie widzi. Może jego duch wszystko oglądał, stał z boku i zagrzewał ją do walki. Żałowała, że nie ma tu Hunnana. Mogłaby wepchnąć jego mordę w krew, którą sama przelała.

Niechby jeszcze raz ośmielił się ją wykluczyć. Jego też by zabiła.

Uzhakowie nie znali takiego sposobu walki. Beźladnie kotłowali się pod zaporą. Atakowali pojedynczo lub parami. Odwaga prowadziła ich do zguby. Zadra zauważyła, że jeden niezdarnie sięga włócznią ponad tarcze i próbuje dźgnąć Branda. Błyskawicznie skoczyła naprzód i zamachnęła się czekaniem. Dziób broni wgrzył się głęboko w ramię wroga, a ona szarpnęła go między tarczami prosto na siebie.

Zachwiali się, objęci, warcząc wściekle. W ustach poczuła jego długie włosy. W ruch poszły kolana i łokcie, a wreszcie Ojciec Yarvi ciął mężczyznę z tyłu po nogach. Zadra wrzasnęła, zdołała wyszarpnąć czekanie i uderzyła nim w bok czaszki wroga. Strącony hełm potoczył się po zrytym zboczu.

Jej ojciec nieraz wspominał o bitewnym szale – czerwonym ferworze, jakim Matka Wojna obdarowywała te spośród swoich dzieci, które lubiła najbardziej. Zadra słuchała jego opowieści przy ogniu z okrągłymi oczami i rozdziawioną buzią. Jej matka powtarzała mu, że nie są to historie odpowiednie dla dziewczynek, a wtedy on pochylał się nad córką – tak blisko, że czuła na policzku jego ciepły oddech – i ciągnął ochrypłym szeptem.

Pamiętała, co mówił o bojowej euforii, a teraz sama ją czuła.

Świat wkoło skrzył się, płonął i tańczył, a hausty powietrza paliły jej gardło żarem.

Popędziła ku skrajowi zapory tarcz, która zaczęła się rozciągać i krzywić, jak gdyby lada chwila miała się rozpaść. Dwóm Uzhakom udało się przedostać między głazami z boku wzgórza i zająć Dosduvoia od tyłu. Jednego cięła w bok, tak że złożył się wpół. Drugi zamierzył się na nią włócznią. Miała wrażenie, że grot sunie w jej kierunku tak powoli, jakby pruł miód, a nie powietrze. Ominęła broń ze śmiechem, czekaniem podcięła nogi wroga i powaliła go na ziemię.

Obok niej śmignęła strzała. Dosduvoi natychmiast wciągnął dziewczynę za swoją tarczę. Przy górnej krawędzi tkwiły już dwa promienie. Zapora wyginała się pośrodku. Wojownicy krzywili się, próbując wytrwać na swoich miejscach. Rozległ się łoskot, jeden z ludzi padł, plując zębami, i ściana pękła. W wyrwie stał potężny Uzhak w masce ze szczęk morsa. Między kłami łypały groźne oczy. Prychał jak wół i oburącz machał wielką zębatą maczugą, spychając załogę na boki i poszerzając wylom.

Zadra nie czuła strachu. Tylko bitewny szal – silny jak nigdy.

Krew zawrzała w niej jak woda w morskiej kipieli i bez namysłu popędziła na olbrzyma. Jego oszalałe oczy odwróciły się ku niej, a ona rzuciła się na ziemię, ślizgiem przejechała na boku między jego wielkimi buciorami, odwróciła się i zamachnęła mieczem w chwili, gdy potężna maczuga uderzyła o ziemię tuż za nią. Rozpłatała tył jego nogi i patrzyła, jak krew zastyga w czarnych kroplach. Olbrzym osunął się na kolana. Fror doskoczył do niego i ciął go potężnie raz, drugi i trzeci. Niebieski odcisk dłoni na jego twarzy upstrzyły czerwone kropki.

Uzhakowie się rozproszyli. Umykali w dół zbocza na otwartą równinę, gdzie czekały ich konie. Zadra podniosła broń nad głowę i z jej gardła wydarł się triumfalny okrzyk. Cała płonęła. Duch ojca pchał ją do walki, więc rzuciła się za uciekającym wrogiem jak ogar za zającami.

– Zatrzymajcie ją! – ryknął Rulf.

Ktoś ją pochwycił i odciągnął, choć klęła i się wyrywała z twarzą przesłoniętą płataniną włosów. To był Brand. Jego zarost drapał ją w policzek. Otoczył ją lewą ręką, tak że znalazła się za jego tarczą. Zobaczyła, jak zza uciekających Uzhaków wysuwają się inni, krocząc pewnie przez wysokie trawy z gotowymi do strzału łukami i zaciętymi minami. Całe zastępy.

Nagle uleciała z niej cała bojowa euforia, a w jej miejsce napłynęła fala strachu.

– Zewrzeć zaporę! – ryknął Rulf, strzykając śliną przez zęby.

Jego ludzie zaczęli się ustawiać ramię przy ramieniu, zamykając przerwy. Tarcze chwiały się nieznacznie i uderzały jedna o drugą, to tu, to tam wpuszczając smugi światła. Zadra usłyszała, jak strzały uderzają o lipowe drewno. Jedna odbiła się od

krawędzi tarczy Branda i świsnęła mu nad ramieniem. Odda padł na ziemię. Z jego boku sterczał promień. Wojownik pluł przekleństwami, próbując się odczołgać na szczyt wzniesienia.

– Cofamy się! Powoli!

Zadra wzięła Oddę pod pachy i zaczęła go ciągnąć, choć stękał, wierzgał nogami i wydychał powietrze czerwonymi bańkami. W pewnym momencie straciła równowagę i pociągnęła go na siebie. Mało brakowało, a skaleczyłaby się własną bronią. Z trudem dźwignęła się z ziemi i pociągnęła rannego dalej. Koll skoczył jej na pomoc i wspólnie zawlekli Oddę na samą górę.

Zapora z tarcz powoli wycofywała się ich śladem do miejsca, gdzie stała zaledwie kilka chwil wcześniej. Znowu za plecami mieli rzekę, a przed sobą wielką równinę.

Zadra oniemiała ze zgrozy. Nie miała pojęcia, ilu członków załogi zginęło. Trzech? Czterech? Większość miała tylko zadrapania, ale stan kilku był poważny. Nie wiedziała, czy sama została ranna ani czyją krew ma na ubraniu. Widok strzały sterczącej z boku Oddy odbierał jej nadzieję. Już na nic nie liczyła.

Przez luki między tarczami widziała ciała Uzhaków leżące na stratowanym stoku. Niektórzy jeszcze żyli, jęczeli i obmacywali sobie rany.

– Przepchnąć czy wyciągnąć? – spytała Safrita, klękając obok

Oddy i mocno ściskając jego zakrwawioną dłoń.

Ojciec Yarvi patrzył na nich bez słowa i pocierał ostro za-ryсовany podbródek. Jego palce zostawiły czerwone smugi na policzku.

Furia znikła bez śladu, jak gdyby w ogóle jej nie było. Zgasł ogień, który płonął w Zadrze, i został tylko popiół. Ojciec nie mówił jej, że zapał w boju jest jak pożyczona siła, jak dług, który trzeba potem spłacić, oddając dwa razy więcej, niż się wzięło.

Zacisnęła w dłoni sakiewkę z kośćmi jego palców, ale nie znalazła w niej pociechy. Patrzyła na krwawiące rany, jęczących ludzi i ślady rzezi. Rzezi, do której sama się przyczyniła.

Była zabójczynią. Nikt w to nie wątpił.

Pochyliła się nagle, jak gdyby ktoś uderzył ją w brzuch, i wypluła cienką strużkę wymiocin na trawę. Dopiero po chwili wyprostowała się rozdygotana. Raziło ją światło, kolana się pod nią uginały, a oczy zaszły jej łzami.

Była zabójczynią... i tęskniła za matką.

Zobaczyła, że Brand zerka na nią przez ramię. Z draśnięć na jego policzku strużki krwi ściekały mu po szyi i wsiąkały w kołnierz koszuli. Strzępy bandaża kołysały się wokół czerwonego sztyletu w jego dłoni.

– Nic ci nie jest? – spytał ochryple.

– Nie wiem – odparła i ponownie zwymiotowała. Gdyby wcześniej coś jadła, pewnie by nie przestała.

– Powinniśmy wrócić na Wiatr Południa – zawołał ktoś głosem, w którym brzmiała piskliwa nuta paniki.

Ojciec Yarvi pokręcił głową.

– Zasypaliby nas deszczem strzał z brzegu.

– Przydałby się cud – sapnął Dosduvoi, podnosząc oczy do różowego nieba.

– Skifro! – krzyknął Yarvi i ciemnoskóra kobieta skrzywiła się, jakby jakaś mucha zakłócała jej spokój. Mruknęła coś pod nosem i przygarbiła ramiona. – Skifro, jesteś nam potrzebna!

– Znowu ruszają do natarcia! – zawołał jeden z wojowników, którzy tworzyli nierówną zaporę.

– Ilu? – spytał Yarvi.

– Więcej niż poprzednio! – odkrzyknął Rulf, zakładając strzałę na cięciwę czarnego łuku.

– Dużo więcej?

– Dużo!

Zadra próbowała przełknąć ślinę, ale zaschło jej w ustach.

Czuła się tak słaba, że ledwie mogła udźwignąć miecz ojca.

Koll zaniósł bukłak tarczowym. Pili, prychnęli i oglądali rany, krzywiąc się.

Fror przepłukał wodą usta i splunął.

– Czas drogo sprzedać życie. Śmierć nadchodzi!

– Śmierć nadchodzi – powtórzyło za nim kilka głosów, lecz bardziej przypominało to lament niż wyzwanie.

Zadra już słyszała zbliżających się Uzhaków, ich wojenne okrzyki i tupot kroków. Docierał do niej także groźny pomruk załogi, która szykowała się na przyjęcie uderzenia. Była słaba, ale zacisnęła zęby i podniosła upstrzoną czerwienią broń. Ruszyła do zapory, z powrotem na zrytą ziemię, choć tym razem na myśl o walce nie czuła euforii.

– Skifro! – wrzasnęła Ojciec Yarvi.

Z gniewnym okrzykiem kobieta poderwała się z ziemi i zrzuciła pelerynę.

– Niech będą przeklęci! – zawołała i zaczęła coś nucić, na początku cicho, a potem coraz głośniej. Sztywnym krokiem minęła Zadrę, śpiewając słowa, których dziewczyna nie rozumiała i nigdy wcześniej nie słyszała. Domyślała się jedynie, że nie

jest to ludzka mowa.

Język elfów. Ich czary. Magia, która rozbiła Bóstwo i zniszczyła świat. Zadra miała wrażenie, jakby owionął ją mroźny wiatr. Przeszedł ją dreszcz.

Skifra skandowała coraz donośniej, szybciej i gniewniej. Zza pasów, które oplatały jej tułów, dobyła dwa kawałki ciemnego metalu z dziwnymi wypustkami i otworami, po czym wsunęła jeden w drugi z trzaskiem, który przypominał zamykającą się kłódkę.

– Co ona robi? – zdziwił się Dosduvoi, ale Ojciec Yarvi uciszył go gestem zwiędłej dłoni.

– To, co musi.

Skifra wyciągnęła artefakt elfów przed siebie.

– Zróbcie miejsce! – nakazała.

Nierówna zaporą rozdzieliła się na dwie części i Zadra spojrzała przez prześwit. Uzhakowie zmierzali ku nim wielką chmarą, mijając trupy swoich towarzyszy. Pędzili naprzód bez litości, w oczach mając Śmierć.

Rozległ się grzmot pioruna, coś błysnęło i ten, który znajdował się najbliżej, poleciał w dół zbocza, jakby strącił go jakiś olbrzymi palec. Zabrzmiał kolejny huk i wśród załogi rozszedł się pomruk niedowierzania, gdy jeszcze jeden wróg potoczył się po ziemi jak zabawka. Jego ramię liznął dziwny ogień.

Skifra zawodziła coraz donośniej. Drzazgi lśniącego metalu wyskakiwały z artefaktu, który zaciskała w dłoniach, i dymiąc, padały na trawę u jej stóp. Wokół słychać było tłumione jęki. Jej towarzysze rozdziawiali usta i zaciskali w palcach talizmany. Bardziej się lękali tych dziwnych czarów niż Uzhaków.

Sześć grzmotów przetoczyło się nad równiną. Sześciu wrogów dosięgły błyskawice ognia. Reszta Konioludów rzuciła się do ucieczki, wrzeszcząc przeraźliwie.

– Niech Bóstwo ma nas w opiece – wyszeptał Dosduvoi, kreśląc na piersi święty znak.

Potem zapadła cisza. Zakłócał ją jedynie szepot wiatru i świst oddechu Oddy. W powietrzu unosiła się woń przypieczonego mięsa. Od jednej z metalowych drzazg zapaliła się trawa. Skifra z ponurą miną zdusiła płomień butem.

– Coś ty zrobiła? – wyszeptał Dosduvoi.

– Wymówiłam imię Bóstwa – odparła. – Wypalone ogniem i zapisane runami elfów przed rozpadem świata. Zmusiłam Śmierć, aby opuściła swoje zwykłe miejsce przy Ostatnich Wrotach i przybyła nam z pomocą. Tyle że wszystko ma swoją cenę.

Podeszła do Oddy, który siedział oparty o pień skarlałego drzewa. Safrita pochylała się nad nim, próbując ostrożnie usunąć strzałę.

– Imię Bóstwa ma siedem znaków – powiedziała i wycelowała w niego śmiertelny metal. – Wybacz mi.

– Nie! – Safrita próbowała go zasłonić, lecz Odda odepchnął ją łagodnie.

– Kto by chciał umrzeć dopiero na starość? – W uśmiechu szaleńca pokazał zęby. Wypłowane w nich rowki były czerwone od krwi. – Śmierć czeka wszystkich.

Rozległ się jeszcze jeden ogłuszający huk. Odda wygiął plecy w łuk i przez chwilę dygotał, aż w końcu znieruchomiał.

Z czarnej dziury w jego koleczudze unosiła się smużka dymu.

Skifra spuściła wzrok.

– Mówiłam, że pokażę wam magię.